

Ruch pracowniczy na zakręcie

23 czerwca 2008

Za fasadą PR-owskich popisów Donalda Tuska partia, która doszła do władzy pod hasłami obrony demokracji przed szalonymi bliźniakami szykuje się do uderzenia w same fundamenty demokracji społecznej – w prawo do strajku, wolność związkową i Kodeks pracy. Organizacje pracodawców i rząd lansują pomysły obarczenia pracowników kosztami strajków, dążą do faktycznej delegalizacji małych związków, a wreszcie snują plany zawieszenia przepisów Kodeksu pracy w firmach zatrudniających mniej niż 10 osób, a więc w przygniatającej większości polskich przedsiębiorstw.

Wszystko dla dobra gospodarki i dialogu między pracą a kapitałem. Wedle ekspertów Konfederacji Pracodawców Prywatnych dialog ów paraliżuje zbyt duża ilość organizacji związkowych w niektórych przedsiębiorstwach. Na dowód słuszności tych twierdzeń przytacza się kilka skrajnych przypadków firm, w których jest po kilkadziesiąt, a czasem ponad sto organizacji. To tania manipulacja. Po pierwsze dlatego, że sytuacja podobna do stosunków w KGHM (gdzie na 17,5 tys. zatrudnionych jest 40 organizacji) ma miejsce tylko w niewielu wielkich firmach państwowych, tymczasem większość polskich pracowników funkcjonuje w sektorze małych prywatnych przedsiębiorstw, gdzie związki zawodowe są wciąż rzadkością, a teraz mogą zostać w ogóle zakazane. Po drugie, dlatego że polskie związki zawodowe od lat są zaprzeczeniem gęby, jaką przyprawiają im liberalne media – gęby pieniaczy, niezdolnych do kompromisu i nie znających tzw. poczucia odpowiedzialności za zakład. W rzeczywistości polskie związki są „odpowiedzialne” aż do bólu, aż do zgniłego kompromisu i granic instynktu samozachowawczego. Akcje strajkowe są u nas wyjątkiem. W czasie poprzedniej wielkiej fali protestów, w latach 2000-2003 z powodu strajków utracono w Polsce średniorocznie zaledwie dwa dni pracy. W tym czasie Hiszpania traciła 220 dni, Austria

103, a Wielka Brytania 27! Czy w tej sytuacji można się dziwić upadkowi wielkich central związkowych? Tylko od grudnia 2006 do czerwca 2007 r. „Solidarność” straciła 26 tys. członków. OPZZ pogrążony jest w biurokratycznym marazmie i finansowym paraliżu po tym jak fundusze centrali przejęła prywatna fundacja kontrolowana przez jej byłego przewodniczącego. O istnieniu trzeciej dużej organizacji związkowej – Forum Związków Zawodowych – zapewne nikt by nie wiedział gdyby nie zeszłoroczny protest pielęgniarek formalnie należących do tej centrali.

O co zatem chodzi pracodawcom i rządowi skoro nie o zagrożenie ze strony wielkich związków śpiących snem biurokraty? Oczywiście o położenie tamy ruchowi rewindykacyjnemu, który rozkręca się w Polsce od zeszłego roku. Przewodzą mu małe, zdeterminowane i wolne od korupcji związki takie jak „Sierpień 80”, Inicjatywa Pracownicza czy Konfederacja Pracy. Zdystansowały one ociężałe giganty o kilka długości. Co więcej, potrafiły przełamać partykularne interesy współdziałając nie tylko w terenie, ale także w Komitecie Pomocy i Obrony Represjonowanych Pracowników (KPiORP).

Protesty nie są wcale masowe, ale ich organizatorzy wybrali właściwy moment. Uderzyli w chwili gdy siła przetargowa pracowników w naszym kraju wzrosła wskutek zmniejszenia się bezrobocia (imigracja) oraz względnej koniunktury gospodarczej. Sukcesy ruchowi zapewnia także jego niezwykła dynamika i topografia odpowiadająca najnowszym trendom w gospodarce i stosunkach pracy. Gwałtowne protesty pojawiają się w sektorach o dużym znaczeniu symbolicznym (górnictwo, hipermarkety, służba zdrowia), w usługach publicznych (poczta, transport, szkolnictwo) i w nowych, dynamicznie rozrastających się sektorach rynku pracy, na które duże centrale związkowe nie mają żadnego pomysłu (agencje pracy tymczasowej). Nowością obecnej sytuacji jest otwarty sojusz, jaki wielkie centrale związkowe zawiązały z KPP i rządem. „Solidarność” i OPZZ przestraszyły się, że małe, ale dynamiczne związki ostatecznie

podkopią ich pozycję, i na posiedzeniu Komisji Trójstronnej wysunęły pomysł ograniczenia możliwości działania w zakładach do kilku dużych central, które rzekomo są reprezentatywne.

Jeśli jednak reprezentatywność mierzyć poziomem zaangażowania w walkę o pracownicze interesy, to trzeba uznać, że jest ona niemal odwrotnie proporcjonalna do nominalnej liczebności związków. Postawa największych syndykatów w ostatnich miesiącach potwierdza to bardzo dobitnie. Wyjątkiem jest Związek Nauczycielstwa Polskiego, który pokazał swoją siłę 6 maja, gdy strajkowała ponad połowa polskich szkół. Niemniej jednak, np. wielki strajk listonoszy z 2006 r. rozpoczęła Inicjatywa Pracownicza, wzbudzając prawdziwą panikę wśród dużych central działających na poczcie. Głośny protest pielęgniarek, którego nie udało się spacyfikować rządowi Jarosława Kaczyńskiego został ugaszony przez szefostwo FZZ zanim wynegocjowano spełnienie postulatów pielęgniarek. Podczas trwającego 46 dni i zakończzonego sukcesem protestu w kopalni Budryk (grudzień 2007- styczeń 2008), którym kierował „Sierpień 80” w roli gaszących strajk wystąpiły górnicza „Solidarność” i należący do OPZZ Związek Górników w Polsce. Protesty w hipermarketach Tesco kierowane przez „Sierpień 80” i Konfederację Pracy przyniosły znaczącą poprawę sytuacji pracowników, o której nie mogli marzyć, gdy reprezentowała ich „odpowiedzialna” „Solidarność” niezdolna nawet do zawarcia zbiorowego układu pracy dla 27 tys. zatrudnionych.

Waga obecnych protestów polega nie tylko na splocie czynników, który sprawia, że są one bardzo skuteczne, ale także na tym, że decyduje się w nich przyszłość polskiego ruchu związkowego. Obrona Kodeksu pracy przed zakusami pracodawców, rządu i związkowych biurokratów może przywrócić związkom nadszarpniętą wiarygodność, a pracownikom pozwolić odzyskać solidarność przez małe „s” i poczucie politycznej podmiotowości, bez której trudno marzyć o odbudowie lewicy w naszym kraju.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [„Le Monde diplomatique”](#)